Przyjaciel Ludu.

ROK DZIESIĄTY. No. 33. Leszno, dnia 10. Lutego 1844.

O kupczyku.

(Powiastka gminna od Pleszewa.)

I.

W pewném miasteczku w lichéj chałupie urodziła uboga szewcowa siódmego syna. Pobłogosławieni tym nowym przybytkiem już tak licznéj familii rodzice, to się cieszyli, to znowu biadali i wyrzekali, że trzeba będzie żywić i przyodziewać, a roboty tak mało, że lichy z niéj zarobek już i tak nie wystarcza.

Zdarzyło się, że w tymże samym czasie, sąsiadka narożna, kupcowa, powiła córkę, jedynaczkę. Po kilku dniach, gdy obie matki już do sił przyszły, stanęło na radzie, w domu biednego szewca odbytéj, aby owę kupcową zaprosić w kmotry, w nadziei wiązarka. Niewiasta bogobojna nie odmówiła téj chrześciańskiéj przysługi, i szewc wyprawił sute chrzciny. Mąż kupił kminkówki, a żona upiekła jęczmienny strucel, aby uczcić dzień ten uroczysty swego siodmego potomka i uszanować tak łaskawą kumę. Przy wódeczce, choć jéj mało kosztowała kupcowa, rozgadały się od serca kumoszki o swych dziatkach, przyczém szewcowa ciężko na swą biedę narzekać zaczęła: „Mój miły Jezusieńku,“ mówiła, „jam taka biedna, a Pan Bóg mnie siedmiorgiem dzieci opatrzył; pani kumoszka zaś najbogatsza z całego miasta, a tylko jednę ma córkę.“ Pochwyciła tę mowę kupcowa i rzekła: „Dajcie mi więc kumoszko waszego małego synka; ja go przyjmę za własne dziecię i razem z moją córką wychowam.“ W szewcowéj odezwało się uczucie macierzyńskie i nie chciała z początku oddać dziecka; ale kiedy kupcowa zaczęła jéj rozpowiadać, jakie będzie miało w domu jéj wygody, nie zbarając się dłużéj, przyzwoliła; a biedne szewczysko odetchnęło!

Pomiędzy warunkami położyła kupcowa i ten, aby chłopiec na zawsze u niéj pozostał, i żeby zachowana była tajemnica, czyim jest synem. Rosł tedy chłopczyk u matki chrzesnéj, jak pączek w maśle, opływając we wszystko; wcześnie zaczął się uczyć czytać, pisać, rachować. Ho! ale jak pięknie pisał! to nasz nauczyciel Gandziara ani się umywał do niego, bo przecież na własne oczy widziałem jego pismo. Kiedy kupiectwo widzieli, że już wyrosł z dziecięcych lat, wzięli go do kramu, żeby się handlerstwa wyuczył. Chłopczyna miał szyk do wszystkiego, był rozgarniony; wkrótce poznał i ceny towarów i ludzi, którzy je kupowali; do każdego coś przemówił, z tą pożartował, tamtemu piękne słówko powiedział, tak, że też ludzie do niego szli, jak po święconą wodę.

Był tedy sobie chłopak szczęśliwy i wesół, aż póki licho nie wlazło mu w drogę; słowem, póki się nie rozmiłował w swéj przybranéj siostrze Rózi, od któréj im więcéj doznawał wzajemności, tém się czuł nieszczęśliwszym, widząc w swéj miłości — zbrodnią. Stał teraz za stołem w kramie zamyślony i osowiały, jak gdyby gadać zapomniał; ludzi jak dawniéj nie witał, nie zagadywał, iście jakby go kto urzekł, lub oczarował. Nie było to do smaku, zwłaszcza kobietom; zaczęły więc o nim najprzód po cichu szeptać sobie do ucha, a potém coraz głośniéj rozgadywać. „Magdeczku,“ rzekła raz Kachna, gdy jéj w takiém osłupiałém milczeniu nalał za trzy grosze syropu, „a wiesże ty, że on nie jest synem kupca, ale szewczykiem, synem majstra, co mi robi trzewiki. Może mu trochę ujmują obroku i to go tak korci; ale żeby wiedział, jaka bieda w domu jego prawdziwych rodziców, toby na kolanach dziękował Panu Bogu za opatrzność. A dyć to jego starszy brat siedzi w brudnym szuszwalu nad bótami w budzie pod ratuszem, a on do nich gdyby jaki panicz.“ Te rozmowy dość często powtarzane doszły nareszcie do uszu kupczyka, który się z tego odkrycia nadzwyczajnie ucieszył, że żadne związki pokrewieństwa nie stoją na przeszkodzie, aby swą dawniejszą siostrę mógł pojąć za żonę. Wyjawia więc swéj miłéj tajemnicę i odbiera od niéj ponowione przysięgi, że nikogo innego nie poślubi.

II.

Uradowany kupczyk pobiegł do swych prawdziwych rodziców, rzucił im się na szyję, ściskał i całował liczne rodzeństwo, płakał, skakał z radości, tak mocno był swém szczęściem upojony. Ale nie długo skończyła się jego radość, bo starzy kupcowie dowiedziawszy się o wszystkiem, a nie chcąc swéj córki wydać za ubogiego chłopca, postanowili pod pozorem wędrówki, wysłać go w świat, a tym czasem postarać się o bogatego zięcia. Nie pomogły prośby i płacze. Gdy nadszedł dzień rozstania, Rózia upatrzyła sposobność i dała swemu miłemu wizerunek Matki Boskiéj Częstochowskiéj na pamiątkę, oraz ponowione przyrzeczenie, że będzie za nim cztery lata czekała. On jéj nawzajem dał pierścionek złoty, mówiąc: „Najdaléj za

cztery lata! Gdybym nie powrócił, wolną jesteś, bo wtenczas już mnie nie będzie na świecie!“ Właśnie wtedy jechał kupiec na Węgry po wino, zabrał go więc z sobą; przybywszy na miejsce, dał mu nieco pieniędzy i kazał iść w świat. Szedł więc przez rozmaite kraje i narody, widział złote banie, srebrne góry, takie wysokie skały, żeby tak wysoko ani orzeł nie podleciał, osobliwsze zwierzęta, ptaki, drzewa migdałowe, rozynkowe, cukrowe. Przecie tam hen gdzieś na południe są takie wielkoludy, jak nasza gruszka na polu, a kiedy idą, tobyś im na kozackim koniu nie zbył. Mówią to po niemiecku, to po węgiersku, to po tatarsku, po turecku, po murzyńsku, a to wszystko widział nasz kupczyk i słyszał. Kiedy sobie tak wędruje, zabrał go w drodze pewien Muzułmanin, a potém zdradziecko w Turczech jako niewolnika swego zaprzedał. Pan, który go kupił, kazał mu ciężko jak bydlęciu pracować, a nawet wiarę muzułmańską przyjąć. Nie długo atoli sprzedany innemu panu, od tego dostał się za niewolnika do samego Sułtana. Raźna postawa młodzieńca, a bardziéj jeszcze bystrość i przytomność umysłu, zjednały mu w krótce łaskę tak wielkiego pana, który go nie tylko wolnością udarzył, ale niebawem Wezyrem go swoim uczynił. I tak ów szewski synek był sobie za paniebrat z największymi panami. Ale on tego szczęścia na złe nie użył: rządził mądrze i sprawiedliwie, ludzie mieli się dobrze, a skarbiec Sułtana był pełny.

Nic tedy do jego szczęścia nie brakowało, jak to, że czwarty rok już był dawno minął, tęga mu się zrobiło za Rózią, która zapewne poszła już za kogo inszego. Wiedząc, w jakich jest u Sułtana łaskach, udał się prosto do niego z prośbą, aby mu pozwolił swoich odwiedzić. Sułtan chętnie nato zezwolił, dał mu kilka worów pieniędzy, kwartę dyamentów i pół garnca pereł, z tym warunkiem, że niezawodnie powróci. Musiał mu to przyrzec usty, choć co innego miał w sercu, zabrał drogie podarunki i ruszył ku domowi.

III.

Po oddaleniu się kupczyka z miasteczka, jego narzeczona w ciężkiéj melancholii pędziła długie godziny, tygodnie, miesiące, spoglądając często na pierścień, jako jedyny pocieszyciel w jéj smutku. Tymczasem rodzice pozbywszy się niemiłego zalotnika, przemyśliwali teraz, za kogoby wydać córkę. Nie zbywało na kawalerach, bo znany był powszechnie wielki majątek kupca, a Rózia była gładka i białego lica. Rodzice radzili: to tego, to owego, ona zaś różnych używając wybiegów, jak mogła, tak się od każdego wymawiała. Tak w ciągłych tych swadziebnych termedyach upływał rok jeden, drugi, trzeci. Nareszcie kończy się i czwarty, a jéj miły nie wraca. Dziewczyna strapiona, różne w sercu czyni domysły; może ją zabaczył i opuścił na zawsze; może inna przypadła do serca zdrajcy! Ale nie! on ją tak ogniście kochał! Najprędzéj rozniemógł się gdzie w drodze, i między obcymi bez ratunku, choć tak młody, umarł gdzie w ostatniéj nędzy, lub zabity gdzie od zbójców marnie zginął. Już się w końcu wszystkie wybiegi wyczerpnęły, i córka straciwszy wszelką nadzieję, poddała się naleganiom rodziców. Zaczęto się więc krzątać około przygotowań do wesela. Gdy się dzień naznaczony zbliżył, zaproszono pół miasta, pozastawiano stoły w całym domu i na podwórzu. Ślub odbywał się nocą, dla tém większéj okazałości. Całe miasto było w ruchu, drużbowie uwijali się po ulicach, cechy z chorągwiami przychodziły winszować młodemu państwu.

Było to już po ślubie, liczni goście już długie obsiedli stoły, gdy jakiś podróżny zajechał przed dom zajezdny, i widząc taki rozruch w mieście, pyta się o przyczynę gospodarza, który jakimsiś interesem opóźniony, teraz dopiero na wesele się wybierał. Tym podróżnym nie był kto inny, jak ów z Turczech powracający kupczyk, a teraz pierwszy jego Sułtańskiéj Mości Minister; a uwiadomiony o przyczynie, prosi go, czyby także nie mógł być tym godom przytomnym; jest bowiem cudzoziemcem i radby tutejsze poznał obyczaje. Gospodarz chętnie na to zezwolił i wziął go z sobą na weselną ucztę, gdzie prawie całe miasto zgromadzone było. Właśnie zaczynały się tańce, najprzód poważny polonez, daléj chodzony, przyszło do skocznego mazura, kręconego obertasa, to na ksóbkę, to na odsiebkę. Podróżny także tańczył mając ciągle młodą pannę na oku, i gdy upatrzył, że była moment wolną, poprosił ją z sobą do tańca. Tańczyli z sobą długo, a tańczyli ogniście, suwali, prawie ziemi nie tykając, aż się serce śmiało; gdy nareszcie niby dla ochłody rozpina suknią, a w tém wizerunek Matki Boskiéj Częstochowskiéj na piersiach zabłysnął. Młoda panna krzyknęła przeraźliwie i padła na ziemię — nie żywa.

Przypadek ten strasznie wszystkich przeraził; wśród powszechnego wesela śmierć blada porwała swą ofiarę, w płacz i smutek zmieniła radość.

Był zwyczaj w tém mieście, że umarłych zaraz skoro żyć przestali, chowano. Ci sami więc godennicy zatrzymani na obrzęd pogrzebowy, dopiero po oddaniu téj ostatniéj przysługi, rozeszli się smutni do domu. Ale najbardziéj strapionym był nasz podróżny, który choć widział na własne oczy śmierć i pogrzeb tak drogiéj mu osoby, nie chciał temu wierzyć: poszedł w nocy na cmentarz, otworzył grób, wydobył z trumny ciało, zaczął umarłą trzeć, chuchać i, o cudo! trup ożył. Uszczęśliwiony wziął ją z sobą potajemnie do swego mieszkania i w ukryciu w swéj stancyi zatrzymał. Gospodarza

zaś prosił, aby mu pozwolił dać bal w swym domu, i żeby nań wszystkich swych godowników zaprosił, aby ich pogrążonych w smutku choć nieco rozweselić.

Rzęsiste lampy i świece oświetliły wszystkie pokoje domu, licznie zgromadzili się goście; lecz ponieważ po tak bolesném zdarzeniu, nie chcieli się oddawać hucznéj wesołości, zabawiano się rozmową, opowiadano powiastki; nareszcie gospodarz skierował powszechną zabawę, żeby z kolei zadawano sobie i rozwięzywano zagadki.

Powstał więc piérwszy z gości i rzekł:

Stoi na kołyszku, w zielonym garnyszku; (1)
Mógłbym na to przysiądz, że w nim przeszło tysiąc.

Drugi gość.

Fitu, fitu, fitu; pełna skrzynia aksamitu. (2)

Trzeci.

Kupił chłop konia, ale bez ogona;
Jak przyszedł do dom, przyprawił mu ogon. (3)

Czwarty.

To z nogami, to bez nóg,
Stawiają mnie zwykle w róg;
W lecie o mnie nie dbają,
W zimie mi tył podają. (4)

Piąty.

Jedno mówi: Żeby przyszedł prędko zmrok,
Położyłbym się na bok.
Drugie zaś mówi: Mnie zaś wszystko jedno,
Czy we dnie, czy w nocy;
Zawsze wytrzeszczam oczy. (5)

Szósty.

Stoi Wach, na drwach,
Wyciąga ręce, ku Bożéjmęce. (6)

Siódmy.

Jak idą do obory, to wszystkie białe,
A jak z obory, to jedne takie, drugie owakie. (7)

Ósmy.

Sądek wina, dziurki w nim niema. (8)

Dziewiąty.

Jedzie nie drogą, śmiga nie biczem,
Złapał nie zwierzę, skubie nie piérzę. (9)

Dziesiąty.

Co to za zwiérzę,
Co ma cztery nogi i piérze. (10)

Jedenasty.

Dwie trzodki białych jałowiczek,
Między niemi czerwony byczek. (11)

(1) Mak. (2) Komin i sadze. (3) Igła. (4) Piec. (5) Brama i okno. (6) Wiatrak. (7) Jaja w gniaździe, a z nich kurczęta. (8) Jaja. (9) Rybak. (10) Łóżko. (11) Język.

Dwunasty.

Stoi panna za drzwiami,
Obsypana jagłami. (12)

Trzynasty.

Czarniusieńkie,
Małusieńkie,
Przy ziemi go nie znać,
Nie da się okiełznać. (13)

Nareszcie przyszła koléj na podróżnego, który następującą zagadkę podał gościom do rozwiązania:

„Ogrodowy wyrzucił za płot uschły kierz róży, przechodzień podniósł go, wsadził w ziemię, pielęgnował troskliwie; róża się przyjęła. Do kogóż teraz powinna róża należeć?"

Wszyscy zgodzili się na to, że do tego, co ją wypielęgnował.

Powstał podróżny, otworzył zamknięty alkierz i wyszła z niego zmartwychwstała Rózia, w bogate szaty jedwabne, w perły i dyamenty przybrana, gdyby jaka królowa. Zdumieli się goście, gdy im podróżny opowiedział rzecz całą, jakim sposobem już pochowaną od śmierci wyratował; całe zgromadzenie żywą uniesione radością, zawołało jednozgodnie, że Rózia do niego należy. Że pierwszemu małżonkowi ślubowała tylko do śmierci, azatem już teraz wolną jest od téj przysięgi.

Tego wieczora jeszcze nastąpił ślub, bawiono się przez całą noc, i jam tam był, jadł i pił, i niedawno ztamtąd przyszedłem, bo jeszcze mam piasek pod podeszwą.

Antek z D.

Dobromil.

Obwód sanocki w Galicyi, graniczący jedną krawędzią z Węgrami, jest niemal cały górzysty; miasteczka tego obwodu, których jest wiele, chociaż po większéj części drewniane, wyznać potrzeba, czystością i porządkiem nie zalecają się, lecz zwykle w położeniu uroczém; często napotkasz tu rudera dawnych starościńskich zamków lub grodów. Domki drewniane dzisiejsze napełnione żydostwem, rynki ludne, a raz w tydzień, w dniu targowym nader bywają ożywione i głośne. Na te częste targi lud górski napędza swoje bydełko; mieszczanie rozwieszają swojego przemysłu produkta, płótno, obuwie i kożuchy, i t. p. Słowem, ludność okoliczna chrześciańska jest tą nicią, która w rękach żydowskich wiąże się w sieć handlu (że tak powiemy) którym obsnuta jest cała ta okolica najhandlowniejsza w Galicyi. Jedném z większych miast jest Dobromil; prócz targów tygodniowych, miasteczko to ma kilka walnych jarmarków, na woły, z których Święto-Michalski, trwający ty-

(12) Miotła. (13) Pchła.

HISTORIA POLONICA

IOANNIS

DLVGOSSI

SEV LONGINI

CANONICI CRACOVIENSIS

IN TRES TOMOS

DIGESTA.

Autoritate & Sumptibus

HERBVLTI DOBROMILSKI

dzień cały, jest najważniejszy. Tu bowiem przychodzą stada wołów niesprzedanych w Sadogórze i licznego znajdują kupca ze wszystkich niemal obwodów, bliżéj Szląska położonych, z Szląska i Morawy nawet. Ten częsty napływ obcéj ludności, goszczącéj tu w czasie jarmarkowym, przyczynił się nie pomału do dźwignienia miasteczka; jest lepiéj zabudowane niż inne; murowanych kamienic wiele, oberże w niém porządne, ale i drożyzna w czasie jarmarku wielka. Na ćwierć mili od miasta w lesie, znajduje się klasztor grecki Bazylianów; a na górze wyniosłéj stoi jeszcze wspaniała ruina zamku, siedziba znanéj rodziny Herburtów. W tym zamku miała mieszkać Franciszka Krasińska, któréj życia historya od czasu ogłoszenia dziennika Panny Tańskiéj została bliżéj od publiczności polskiéj poznaną; podała nawet materye do dramatu wierszem napisanego, niewielkiéj wprawdzie wartości, li tylko wprowadzeniem osób historycznych budząca interes.

O tém zamieszkaniu Krasińskiéj w Dobromilu wspomniał St. Jaszowski w *Rozmaitościach* z roku 1831., nie przytoczył jednak źródła, zkąd téj wiadomości zaczerpał; powtarzamy takową także bez cytacyi.

EDITA



DOBROMILI,

In Officina Ioannis Szeligæ, Anno D. 1615.

Tytuł Historyi polskiéj Długosza.

Wiadomą będzie rzeczą literatom, że w Dobromilu w 17tym wieku za czasów Felixa Huberta była i drukarnia. Ona wydała po raz piérwszy *Kronikę* Długosza, niemniéj i inne dzieła, jakoto Orzechowskiego: *Annales regni Poloniae.* Bandkie w swojéj *Historyi drukarn polskich* mniema, że drukarnia ta stała pod stérem Jana Szeligi, który z Krakowa tu się przeniósł w roku 1611, przywiedziony do tego zapewnie namową Herburtów.

Z *Wieczorów badeńskich*, J. M. Ossolińskiego.

(Dalszy ciąg.)

Wyjątek drugi.

Mara.

Tak jak dzisiaj ciemna noc była, ledwo co księżyc przyświecał, gwiazdy w mglistych kryły się obłokach, kiedy jeden towarzysz pancerny z pod wiechy wyszedłszy, prosto szedł na nocleg do swego legowiska; mijając zaś cmen-

tarz Ś. Floryana na Kleparzu, spotkał się z jakąś olbrzymią postacią, całą w bieli od stóp do głowy. Choćby też i sam djabeł z pod nóg Ś. Michała w swojéj srogiéj postaci, takowego był jednak umysłu zawsze, w ten czas zaś szczególniéj, iżby niezląkł się był z nim zaczepić. Więc do bladego cienia obces skoczył; takim pędem, że gdy pierwéj prawą nogą na powietrze podleciał, niżeli po ziemi lewą sunął, ta przeładowana zwichnęła się, on brzęknął jak długi, ziemia zadrzała. Bogu dzięki, że bies nie postrzegł tego szwanku. Czyż bowiem ciężko by mu było powalonego przysiodłać i karku mu nadkręcić? w oka mgnieniu podźwignął się rycerz z płazu na cztery nogi jak niedźwiedź, potém wnet stanął na dwóch; czysty Goliat! przypatrzyć mu się było, jak na całéj twarzy płomieniem gorzał.... odetchnął.... sapnął. Zjesz sto djabłów, djable! rzekł i puścił się całym ogromem, jak kiedy z wierzchołka wali się góra w dolinę. Mara zadrzała, chwiała się, zatoczyła się, legła, wiatr powstał; kurzawa oczy rycerzowi zamroczyła: koziołkiem przez marę przeleciał. Grał długo kułakami z powietrzem w ciuciubabkę, a oczy wysłupiał, iżali mu tyłu nie wzięto. Wtém coś z za niego szust mu pod głową.... on nazad.... owo pierzchło.... on w lewą, tamto w prawą.... on w prawą, tamto w lewą.... sam tam ówdzie, wprost, w bok, k' sobie, od siebie; ani mógł nastarczyć młynkiem się kręcić.

Jeżeli sobie pani przypominasz, (*) jak wśród lata, przy stygnącém słońcu, po rozłożystych łąkach i drobnych zaroślach goniłaś różnobarwne motyle; i jak to ów złotem i lazurem cętkowany, albo ów w perły sadzonemi skrzydłami lśniący się, to z drzewka na drzewko, to z gałązki na gałązkę, z trawki na trawkę, z listka na listek, raz w tę, raz w ową stronę przed nastawionėm żelazkiem uskakiwał, i wznosił się i opadał, i przez łapkę śmiało się przemykał, polatywał, okrążał, wnet znowu po przed oczy się migał; jeżeli pani w świeżéj masz myśli te trudy, pojmiesz, co to było ćmę pierzchliwą gonić, i ile nasz junak musiał się zapocić. Obaczył coś białego w rogu kościoła, coś tak nie wielkiego jak kot. Tuś mi, zawołał, stój! a ja cię złapię. To też jak gdyby głosu jego słuchało, albo sierdziło się dotrzymywać placu, ani się ruszyło. Idzie, zbliża się, wyciąga ręce, chwyta.... Coś psnęło się; a dla niego wielkiém było szczęściem, że na pierwszą straż ręce przed głową puścił, chwycił bowiem krawędź stérczącego muru. Obija mu się o uszy, że coś gdzieś chychoce. Wiesz pani, że djabeł, kiedy komu jakiego psiego figla wypłata, zwykł chychotać. A cóż to? będzie mnie przedrzeźniał? rzekł; wywinąwszy za tém kilka razy szabliskiem na wiatr, znowu co tylko miał ducha w nogach, pogonił za hasłem.

Stała na cmentarzu żałobna topola, o któréj wieść starożytna szemrała, że ją stroskany Rytomierz, ów to Rytomierz, pogromca trzy razy, raz poraz Juliusza Cezara, bicz Gotów i Partów, podpora panowania Leszka, przed tysiącem lat własną ręką był wszczepił, powróciwszy z jednéj wyprawy; z owéj podobno, w któréj schwytał był Kropa, i roztopionėm złotem napoił, mówiąc: złopaj, czegoś łaknął! niezastawszy zaś czułéj swéj Adelindy, oblał jéj mogiłę rzęsistym łez zdrojem.

Gdy jeszcze u nas znane nie było ani snycerstwo, ani kunszt lania martwéj postaci z kruszczów, w téj ją żywéj postanowił był uwiecznić pamiątce; którąby miłość jego zawsze świeżą, zawsze krzewiącą się znacząc, kiedyż tedyż majowym cieniem zwłoki ulubione okryła. Zatém owa topola dawniejsza niż cmentarz, niżeli kościoł, niżeli chrzest w Polsce; dawniejsza nawet niżeli ta do Piasta na szumny miodek zesłana dwóch Cherubinów wędrówka; rosła była i grubiała wieków kilka nie naszczerbiona, krom jednéj szczeliny, którą nawet bujny liść zagaił.

Jak żołnierz kwarciany po przegranéj bitwie przez trupy z bojowiska ustępując, raduje się, napadając na odwieczne, przecież jeszcze do szczętu ziemią nie zatarte Tatarów obozowiska, lub szańc po Szwedach do połowy nie zburzony; obrony tam szuka za ich jakążkolwiek twierdzą, znowu się w szyki sprawuje; tak za to sławne drzewo straszydło schroniło się. Tuż, tuż docierał nasz wojownik, zrychtowany całkiem do szturmu, rozpostarłszy ręce, jednę w pięść zwartą i drugą zbrojną kordem. Tedy obces na pień uderzył. Zadrzał od korzenia tram, nigdy nawet najwścieklejszemi wiatrami nieruszony i skrzypnął żałosnym jękiem; latorośle skłócone jedne z drugiemi, wydały tkliwe kwilenie, krew świeża zrumieniła zielone liście.... Słyszy od samego rdzenia kichnienie, czuje wilgoć. O męztwo! takiego i Tasso zmyślić nie śmiał! Jemu, jemu to samemu grał na nosie zły duch, naprowadziwszy go na ową jedyną w tramie szczelinę, czy z przypadku dogodną, czy umyślną samołówkę; a on przecie nie strętwiał, nie struchlał, szarpał a szarpał nos, aż wyszarpał; i zamiast że Tankred z przestrachu opuściwszy ręce, pałasza niedopiastował, on i za nos się chwyciwszy, swojego nie rzucił od siebie, ani też pobiegł jak Tankred na skargę do hetmana, i po rozgrzeszenie do pustelnika, ale się w te stropy za nieprzyjacielem kopnął. Bies suwał, piął się tu i ówdzie, gdzie go tylko puszczał cień od krzyża na kopule, a odmieniał się raz w szczura, drugi raz w mysz, to z myszy w nietopérza, to w ptaka, zwierzę, gadzinę, w Hektora, Achillesa, Aleksandra, nawet i w Lisowskiego; bohatér zaś za każdym, djabli wiedzą kim, czwa-

(*) Apostrofa do damy, dla któréj autor pisał te powiastki.

łował i sięgał, aż trafiwszy na kośnicę, zdobył trupią głowę z piszczelem. Widząc djabeł nieprzelewki, drapnął w pole przez fórtkę. Junak ogląda się, zoczył opodal dwa światła iskrzące się, okrągłe jak kule. Czesze i on.... Niestety na walnym gościńcu znalazła się kałuża, pełna rędzinnego błota,.... gęsto jadących na targ wozów wytłoczona kołami. Już, już chwyta biesa, rozkracza nogi, jednym go krokiem dosięga... chce się pałasikiem podpierać, błoto mu wydarło pałasz.... kłobuch odleciał o staje. Przecież jako niegdyś Cezar pod Aleksandryą po saméj śmierci brodząc, piastował pęk swoich pism nad głową: tak i nasz walecznik sam cały ociężawszy i oblepłszy iłem, wyniósł na murawę znamiona swojéj chwały, trupi łeb i piszczel. Tym czasem djabli wiedzą gdzie pokusa wierzgnęła. Legł tedy i rozciągnął się jak długi, a obok siebie położywszy zdobycze, chrapał. Szkalmierzacy jadą świtem na targ do Krakowa; nie ocucił się, aż o niego zawadzili; dopiero wywalił na nich oczy. Dźwigają go, a on im opowiada dziwy. Oto trupia głowa! oto piszczel! A cóż nie zadławiłżem biesa téj nocy?

Wyjątek trzeci.
Jakiś djabeł.

Nie wiele coś do żęcia na niwie zostawało. Lecz ponieważ nadchodziło świąt kilka, bali się bandosi, żeby im sierpów nie zatrzymano. Parobkom zaś i dziewkom cknęło się czekać na obżynek: usadzili się więc wszyscy, reszty przed wieczorem dozbierać. Jaki taki co żywo siły dokładał, jedni drugich zagrzewali i wyścigali. Piérwszy raz podstarości z za pasa nie ruszył gańdziary; włódarz odetchnął; polowi i przysiężni nie mieli innéj pracy, tylko spragnionym cebrami wody donosić. Szła robota rzesko, zatém i wesoło. Dziewki nuciły piosnki, to o kołku co oczyma mrugał, to o Jegomości, to o Kaśce i Maćku. Parobczaki przydrzeźniali; który mógł psikusa bez mitręgi wyrządzić, przyczajał się... złe zbroił... i pukał się ze śmiechu.... Aleć ledwo Błażek garść na tęgi snop zakroił, wrzask na całą gromadę... djabeł wyskoczył z brózdy; nie dużyć był, ale straszny; wzrostu ledwie na trzy ćwierci łokcia, nawet nie dobréj miary; kosmaty od stóp do głowy, o dwóch nogach i dwóch łapach. Tóż gdy mu się ubrdało, o czterech nogach bez łap. Paznokcie miał kończaste jak szydła. Zębiska raz po raz wyszczerzał, jakby drwił z ludzi, albo też zawsze był gotów kąsać. Barwa po części pochodziła na czerwoną, właśnie na barwę niedopalonéj cegły, po części zdawała się błękitna jak żuzel z sadzy. Nos mu przylegał do twarzy. Oczy wyglądały z pojeżonéj sierci. Uszy u głowy sterczały. Istny był djabeł. Jednak osobliwszy, bo bez ogona, bez rogów....

Trwoga na całym łanie. Powypadały z rąk sierpy. Nie jedna dociągając trelu, w język się ukąsiła. Ktoś naderwał sobie palców. Podstarości zadrzał. Jaki taki żegnał się. Djabeł uskoczywszy na zagon, przysiadł. Pchnięto gońca do księdza plebana..., księdza plebana nie było w domu... dziad szuka dobrodzieja. Tym czasem dzwonnik spieszy na dziwowisko.

Dzwonnik ten, razem organista, więcéj umiał, niż sznury od góry na dół ciągnąć. Nawet sam ksiądz pleban nie wiedział lepiéj nad niego, kiedy kadzić, a kiedy dzwonić. Skoro też djabła ujrzał, poznał go po skórze, bo podobniuteńkiego malowanego widywał na obrazach przy świętych pustelnikach. Czém prędzéj tedy wskazał do księdza plebana, żeby na takiego biesa nie z gołemi rękami przychodził... Ksiądz pleban znając kto radził, wyprawił się opatrzony w zupełny rynsztunek duchowny. Oblekł komżę, przewiesił stułę, wdział biret, kazał dziadom wziąść pełny kocieł wody święconéj, kropidło, gromnicę, paschał. Przesłał w piérwszéj straży przed sobą pod chorągwią bracką kilka bab szpitalnych z różańcem. Gdy cała ta processya zbliżała się ku rzysku; przerażony djabeł pobożnych bekiem, podniósł się, nastroił uszu.... Pocieszyli się wierni, że biesowi poszło po piętach. Gruchnęli: Kto się w opiekę... Djabeł nastoporczył się... Ksiądz kropi djabła.... Djabeł się ociera łapami. Ksiądz rzuca klątew.... djabeł obrócił się w kółko i kucznął... Ksiądz i dzwonnik poglądają na siebie!...

Aliści pojawiła się na gościńcu jakaś czereda. Czterech dęło w dudy, jeden bił w bębenek, trzech brząkało jańczarskiemi talerzami. Takich zaś djabłów, jak i ów, tylko w katanki czerwone wystrychnionych, siedziało na niedźwiedziach, a jeden niedźwiedź lózak szedł na powodzie. Zdutkowali wierni! mniemając, że przyjdzie im się rozprawiać z całym zastępem szatanów. Skoro diablę swoich postrzegło, nikomu się nie pokłoniwszy, prosto ku nim skoczyło, i obces na niedźwiedzia! Zagrzmiała muzyka. Szatany poszły w pląsy... Ksiądz proboszcz nos na kwintę spuściwszy, powrócił na plebanią nawet bez dzwonnika i dziada. Nazajutrz sam musiał na mszą dzwonić, i nie miał jéj komu odprawić. Żydek w karczmie szóstaczków nałowił. Djabeł, który i na krok z piekła się nie wychylił, skusiwszy licho, naśmiał się do rozpuku.

(Dokończenie nastąpi.)

List ostatni Pana Żołkiewskiego, Kanclerza i Hetmana koronnego, do Króla J. M. de data w obozie okopanym na Cecorze 24. Septembris 1620 r.

(Z współczesnego rękopismu.)

Najjaśniejszy, miłościwy Królu! Panie, Panie mój miłościwy! Oznajmiłem W. K. M., Panu memu miłościwemu, o przyjściu Sołtan Gałgi i Skinder Baszy, żeśmy co godzina wyglądali. O czém, jeżeli ten list mój doszedł, raczysz W.

K. M. wyrozumieć. Przyszedł tedy dziś tydzień Sołtan Gałga i Skinder Basza; tu pod obozem stanęli. Nazajutrz w Piątek mieliśmy z nimi potrzebę w wieczor fortunną z łaski Bożéj, i zraziliśmy ich z pola; trwała ta burda między nami, aż mrokiem wróciliśmy się i oni i my do obozu swego. Zaś w Sobotę, za zdaniem zgodnem wszystkiego rycerstwa, wyszliśmy w pole, aperto Marte z wojskiem uszykowanem, zwiedliśmy z nimi potrzebę w odkrytą, trwała bitwa sześć godzin od południa aż do saméj nocy; aequo Marte stanęło. Ześli oni do swych stanowisk, poszliśmy i my do swego taboru. Były rzeczy dobréj nadzieje, potężniéj i daléj mogliśmy czynić przeciwko nieprzyjacielowi. Lecz nazajutrz, to jest w Niedzielę, nie mała część ludzi naszych, którzy z wojska uciekli, pomieszali nam rzeczy; nie mianuję nikogo natenczas, wszak sami się tam ukażą, którzy nas tak nieprzystojnie odbieżeli. Acz wątpię, żeby ich wiele miało ujść, bo pławiąc się w nocy przez Prut, siła potonęło, i wielka część od nieprzyjaciela, który im tam lasem za rzeką zaszedł, pobici, pojmani; i ci niebaczni źli ludzie wszystko wojsko zatrwożyli, że blisko tego było, iż już wszystko wojsko do takowegoż sromotnego i nie przespiecznego uciekania miało się udać. Z Jegomością Panem Hetmanem polnym, z niektórymi Rotmistrzami, co przy nas zostali, *constantia* naszą zatrzymaliśmy wojsko i stoimy tu na swojém miejscu bliżéj od siebie z nieprzyjacielem, niż z Warszawy do Ujazdowa. Wojsko Sołtan Gałga i Skinder Basza mają wielkie, dobrze lepiéj nad 60,000. Więźniowie, którycheśmy dostali, powiadają, iż ich ma bydź do stu tysięcy. Zapuścili się byli prosto ku Państwom Rzeczypospolitéj, a tośmy ich tu zabawili, odważywszy na to zdrowie swoje, i daléj co się godzi wiernym W. K. M. sługom i dobrym synom ojczyzny czynić będziem, wedle największego przepomożenia naszego. Jeszcze przeglądając to wszystko, o niebezpieczeństwie pisałem po kilkakroć do W. Król. Mości, żebyś raczył rozmyślać de subsidiis, de supplementis; teraz sam czas ukazuje, że tego pilna potrzeba. Zaczém pewienem, że W. K. M. nie raczysz nas zapomnieć. My tymczasem ad extremum halitum zatrzymamy przeciwko W. K. M. całą wiarę i miłość przeciwko ojczyznie. Hospodar wołoski, z tymiż naszymi uciekającymi poszedł; niewiem, przebyłli, albo nie. To teraz in isto casu rzeczy nasze. Co się ponowi, ile sposobów dostanę, nie zaniecham dawać znać W. K. M., Panu memu miłościwemu. Którego przytém miłościwéj łasce oddawam wierne me poddaństwo z najniższemi posługami jako najpilniéj. Dan w obozie okopanym na Cecorze 24. Septembris 1620. Cedula. Rannych pomiędzy nami jest po części, których też nie godzi się nam odbiegać: Pan Starosta Winnicki, Pan Denhof, Pan Małyński, z Rotmistrzów; synowiec i syn mój poranieni postrzałami, ale nieszkodliwie, wyleczą się.

POEZYA.

Wiersz Molskiego do Matusiewicza przy objęciu Ministerstwa skarbu w r. 1811.

Mężu! który z winnego na przymioty względu,
Wezwany przez królewski wybór do urzędu;
Opuściłeś świątynią Muzów i Minerwy,
Abyś się oddał trudom nie mającym przerwy;
I sprawdzał raz ujęty Horacego piórem,
Różnicę między wpływem, a wpływu rozbiorem.
Wszedłeś trzeci na urząd publicznéj usługi,
Nad którą zasnął jeden, zmordował się drugi. (*)
Patrząc na tę posianą nie kwiatami drogę,
Cóż ci dziś oprócz trosek powinszować mogę?
Jeśli chciano zaradzić naglącéj potrzebie,
Nie tyś urzędu — urząd potrzebował ciebie.
Po dwóch skarbu szafarzach, cóżeś objął spadkiem;
Trwającą lat pięć wojnę potrzeb z niedostatkiem.
Jak z niéj wyjść — kiedy rozchód większy od przychodu,
Gdy źródła, któremi się krzepi moc narodu,
Wyschły, a mnóstwem ofiar wycieńczone ciało,
Ledwie szczątki żywotnych duchów otrzymało.
Dziś rolnik nie ma wcale co wodzie powierzyć;
Ta ziemia, z którą żadna nie chciała się mierzyć,
Co pożyczone ziarno setnym zwraca plonem,
Zwiodła go uderzona komety ogonem.
Zmieniła się dwóchkrotnie bogactw naszych postać,
Sześciogrosz musiał czwórką, późniéj trójką zostać;
I ten co się zarobkiem stu złotych w dzień łudził,
Miał w kieszeni pięćdziesiąt, skoro się obudził.
Rozpaczaćby potrzeba wśród tylu kłopotów;
Lecz Polak dla ojczyzny wszystko ponieść gotów.
Wszystko zniesie cierpliwie, nieszczęścia przebaczy;
Obcym mu jest głos nędzy, obcym głos rozpaczy;
Bo czegóż nie osłodzi — czegóż nie wymoże,
Nadzieja czarująca, przez to słowo może?...
Może dumny Brytańczyk, wodne berło straci,
Może nas handel zboża w rok jeden zbogaci.
Może żołnierz nie płatny, wypłacony w czasie,
Bez tłustego mięsiwa, chlebem utrzyma się.
Może biedny właściciel żywiący się z domu,
Nie da połowy mieszkań za bilet nikomu.
Może Król, ojciec ludu, głowa członków w sejmie,
Część tłoczących nakładów z dzieci swoich zdejmie.
Może ukróci rzeszę biórowéj czeladzi,
Co wzięta dla porządku, porządkowi wadzi;
Może też — lecz stój Muzo! — przez takie to wnioski,
Ministrze! ciągle koi obywatel troski.
A jeśli mi się godzi wraz z innymi wróżyć,
Można obok tych wniosków — tę prawdę położyć:
Iż ponieważ mąż światły styr narodu trzyma,
Nie będziemy więc mieli w Plutonie ojczyma.

(*) Sobolewski i Węgliński.